



Autor : Grzegorz Boroń

Quo vadis człowieku?

Pytanie "quo vadis" zadaje sobie setki, niemal tysiące ludzi. Jest ono kierowane do świętych, poetów, filozofów. Zmienia się adresat pytania. Pytający jest zawsze ten sam. Pojawia się na kartach „Biblii”, chowa się w chlebie i winie, objawia się w heroicznym czynach. Dawno zapomniany, wyszydzany. Dziś przytłoczony wielką i niezliczoną rzeszą reklam. Ukazujący się w telewizji, chodzący na zakupy. Taki wielki Bóg. W XXI wieku, w czasach, gdy Jego obecność jest niemal namacalna, w serca ludzkie wkrada się zwątpienie. Czy On naprawdę jest? Gdzie Go mogę odnaleźć? To jedynie kilka z wielkiej ilości pytań, które zadaje młody człowiek. Dziś Bóg schodzi na drugi plan.

Wysłuchując się w słowa wiersza Stanisława Barańczaka : *"Ojczy nasz, któryś jest niemy/ który odpowiadasz na żadne wołania"*, dochodzę do wniosku, że współczesny człowiek zgubił drogę do Boga. Ale to w jego interesie jest Go odnaleźć. Człowiek XXI wieku sam zadaje sobie pytanie - "quo vadis" i samotnie wyrusza na poszukiwanie celu życia, samotnie jak Jezus na Golgocie...

Odrzucony przez wyznawców, wzgardzony przez lud, ciągle słyszy słowa: *"Ukrzyżuj Barabasa! Uwolnić Barabasa!"*. Ludzie, dla których poświęcił się chcą Go ukrzyżować. Jezus nie ma im tego za złe. Poświęcenie dla tych krzywdzących i z pozoru złych ludzi jest dla Niego sposobem odnalezienia Ojca i uwielbienia Go.

W tym podniosłym momencie to nie chwała i cześć zostają oddane Bogu. Jezus nie śpiewa pieśni pochwalnych. Przez ten jeden moment Bóg widzi swojego syna pośród innych ludzi. Syna w ludzkiej postaci, który kieruje wzrok Ojca na lud stojący pod krzyżem i żąda przebaczenia. Nie dla siebie samego, lecz dla tych, którzy potrafili nim wzgardzić.

Droga krzyżowa nie odnosiła się jedynie do tej wielkiej, krwawej wędrówki, którą odbył Chrystus. Każdy przeżywa swoją drogę inaczej. Niekoniecznie jest krwawa. Swoje drogi przeszli Fiodor Dostojewski, św. Piotr, św. Jan Paweł II. Drogę krzyżową odbywam również ja, człowiek XXI wieku. Postaram się odkryć prawdę, ideę, dla której tak wielu ludzi zdecydowało się nią podążać. Nurtuje mnie pytanie - dlaczego wyruszyli na poszukiwanie prawdziwego Boga? Jezus podczas swej krwawej drogi otrzymał pomoc. Pomógł mu Szymon z Cyreny, niewiasty wylewały nad nim łzy, a św. Weronika otarła Jego twarz. Na Golgocie nie było książąt i królów. W momencie zawarcia nowego przymierza pod krzyżem stała matka, byli też robotnicy, żołnierze. Zwykli ludzie stali się świadkami niezwykłego cudu.



Szukam Boga, podobnie jak Jezus odbywam wędrówkę. Po raz pierwszy od kilku tygodni zmierzam do kościoła. Co ma mi pomóc w odkryciu Boga jak nie ponowienie ofiary z krzyża? Jednak mam wątpliwości. Boga fizycznie nie ma. To sprzeczne z naturą. Owszem, człowiekiem targają różne emocje, ale są one tylko i wyłącznie jego sprawą. Dawny Bóg o nim zapomniał. Mimo, że powoli zbliżam się do fasady kościoła nadal rozmyślam - nad sobą, tym co zaraz zobaczę, o innych ludziach. Jakoś nie chce mi się w to wszystko wierzyć. Muszę. Chcę to w końcu odkryć. Będę walczył i próbował! Boże znajdę Cię jeszcze!

Pieśń na początek, słowa księdza... Kolejne frazy, których nie rozumiem. Szukam Boga. Chcę znaleźć człowieka. Nie potrzebuję pobożnego księdza.

„Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych, i was bracia i siostry o modlitwę za mnie do Pana Boga naszego”.

Czuję się dziwnie. Nie wyobrażam sobie, że wyznaję wszystkie grzechy. Tutaj? Przy wszystkich? Po chwili dociera do mnie, że to jedynie taki zwrot. Jednak rzeczywiście długo mnie tutaj nie było... Przypomina mi się postać kobiety, z którą spotkał się Jezus. Nie powiedziała wtedy swoich grzechów, tylko klękła przed Nim i umyła stopy Zbawiciela swoimi włosami. Niewyobrażalny czyn dla kogoś w naszych czasach. Dziś nie jesteśmy zdolni do takiego oddania. Niekoniecznie...

Przestaję słuchać księdza i rozglądam się po kościele. Dużo ludzi jak zwykle. Dostrzegam jednak grupę osób. Stoją samotnie, odizolowani od reszty. Mąż, żona, przed nimi wózek z niepełnosprawnym dzieckiem. Nie przypominają ludzi z czytanych przed chwilą historii, ale jest w nich coś świętego. Stoją samotnie jak Chrystus i sami dźwigają wielkie brzemię. Może mają wielu znajomych, kochającą rodzinę. Teraz jednak stoją sami i patrzą na siebie z miłością. Mimo wielkiego nieszczęścia. Jakie ich dotyka nie tracą wiary i udowadniają wszystkim, że to nieszczęście jej nie osłabiło. Wręcz przeciwnie. Dziękują Bogu za każdą chwilę spędzoną razem. Czy ja bym tak potrafił?

Mężczyzna dostrzega moje spojrzenie. Odwracam szybko wzrok i próbuję koncentrować się na tym, co czyta ksiądz. Chyba jest to fragment jakiegoś listu albo ewangelia. Jezus uzdrawia paralytyka oraz odpuszcza mu grzechy. Nie musi tego robić. Może uzdrowić wszystkich. Faryzeusze byli przeciwni i oburzeni takim postępowaniem. Tylko Bóg może odpuścić grzechy. Później z ust Jezusa padło zdanie, które zapisało się w mojej pamięci - *"Co za myśli nurtują w sercach waszych?"* Czy faryzeusze mówili prawdę? Czy mieli co innego na myśli? Właśnie o tym mówił Jezus. Serce jest skarbem wszystkiego, co dobre w człowieku. To co



człowiek ma w sercu stanowi olbrzymią wartość dla Boga. Nie możemy ot tak nim dysponować.

Kolejna chwila refleksji, kolejne wyłączenie. Znowu rozglądam się po kościele. Zauważam starca. Dawno temu mówiono mi, że walczył na wojnie. Nie pamiętam gdzie. Bohatersko bronił ojczyzny i starał się stworzyć nowy świat, wolny i piękniejszy dla młodych ludzi. Poświęcił swoją krew, siłę oraz wytrwałość dla innych. Rozmyślam i stwierdzam, że wiele postaci przypomina Jezusa z Nazaretu. Mężczyzna, który walczył na wojnie podobnie jak Chrystus podąża swoją drogą krzyżową. Nie musiał walczyć, przelewać krwi i narażać się na śmierć. Mógł wyjechać, opuścić kraj i wrócić po wojnie. Jezus też nie musiał umierać na krzyżu. Ale On walczył o ludzi i dlatego poświęcił sam siebie. Zupełnie jak ten starzec.

Tymczasem podczas mszy świętej nadchodzi moment powtórnego ofiarowania się Chrystusa. Cudowny kielich ze świętą krwią oraz chleb, owoc pracy ludzkiej, który za chwilę stanie się ciałem Odkupiciela. Ludzie w napięciu czekają. Dostrzegam już to, o czym przedtem zapomniałem. To my jesteśmy częścią Boga. Jezus przemienił swe ciało w chleb i wino. Owoce pracy ludzkiej przez nas wykonane. Oddał nam część siebie.

Dostrzegam starszą kobietę. Powoli zmierza nie do ołtarza, lecz do obrazu z Jezusem Miłosiernym. Ksiądz podnosi kielich i składa ofiarę. Za nas... Za mnie... Gdy padają słowa: „Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie, Tobie Boże, Ojczyźnie i w jedności Ducha Świętego wszelka cześć i chwała na wszystkie wieki wieków”. Czuję się jak na Golgocie. Czekam tam pod krzyżem i jestem świadkiem ponowienia ofiary z krzyża. Znowu dostrzegam starszą kobietę. Zgarbiona, siwa staruszka. Z torebką na szyi, która podpierając się kulami idzie do bocznego ołtarza. To nie faryzeusz i wielcy księżęta żegnali Jezusa pod krzyżem. Była tam starsza pani, klęcząca przy ołtarzu, było małżeństwo z chorą córką, stał mężczyzna, który walczył na wojnie. Byli też inni. Rodzic, który dba o swoje dziecko, pan, który przepuszcza w drzwiach kobietę. Para, która razem przyszła do kościoła. Jestem też i ja - człowiek, który przebył swoją drogą krzyżową, który uzmysłowił sobie, że Bóg objawia się w prostych ludziach i jeszcze prostszych słowach.

Stanisław Barańczak miał po części rację. Niemy Bóg, który bezpośrednio nie udziela się w życiu świata, ale możemy go odnaleźć w każdym człowieku. Nasza wiara jest podobna do tej z wiersza ks. Jana Twardowskiego "Uczy". Wiara jest zawarta w nieświętej choince, szpakach we wierzbie, kwiecie olchy i radości. Bóg jest ukryty w swoich dziełach. Wielokrotnie spotyka człowieka. Zadaje mu



rozmaite pytania. Człowiek wytrwale szuka. Zapomina jednak, że Ojca można znaleźć w swoich dzieciach. W dzieciach, które były z nim do końca, potrafiły się nawrócić i stanąć jawnie przed krzyżem Chrystusa.

Wracając z kościoła, miejsca nowego cudu, przypominam sobie inną historię, inną drogę krzyżową. Widzę przez chwilę św. Piotra, wynędzniałego, okrytego w zniszczone szaty. Jest wczesny ranek. Droga ze starożytnego i wiecznego miasta Rzym i jest on - Piotr, skała, na której opierają się firmamenty kościoła. Co on może robić w takim miejscu? Dokąd idzie? W tej chwili umiłowany uczeń Chrystusa chce znaleźć Boga. Szuka Go na rozmaite sposoby. Szuka Go tak samo jak ja w drugim człowieku. Targają nim sprzeczne uczucia. Nie wie, co robić. Dostrzega przed sobą jasny blask. Opis zawarty w "Quo vadis" Henryka Sienkiewicza nigdy nie był tak jasny. Oto Piotr uciekający od ludzi, którzy mogą go prześladować, zostawia wiernych wyznawców i kroczy dalej. Jego droga krzyżowa zaczyna zbliżać się do krzyża. W tej ważnej chwili św. Piotr, najważniejszy uczeń znowu spotyka się z Jezusem Zmartwychwstałym. Jedno przelotne spojrzenie, uczeń pada na kolana i wydaje z siebie zdanie: *Quo vadis Domine?* - *Gdy Ty opuszczasz mój lud, do Rzymu idę, ażeby mnie ukrzyżowano po raz wtóry* - odpowiada Chrystus.

Dopełniła się godzina największej próby Piotra. Dopełniła się i moja próba. Zajęty rozmyślaniami, problemami, nie zauważyłem, że drugi człowiek może być źródłem Boga. Stwórca objawia się w swoich dziełach. Widziałem go w starszej pani, małżeństwie wychowującym niepełnosprawne dziecko, weteranie wojennym. Teraz dostrzegam tysiące innych przypadków. Dziewczyna w płaszczu z wiesza Stanisława Barańczaka "NN próbuje przypomnieć słowa modlitwy", pan jadący tramwajem, św. Piotr spotykający Chrystusa, tysiące męczenników, zwykłych ludzi i ktoś taki jak ja.

Widzę siebie stojącego na tej samej drodze co Piotr Apostoł. Przedem stoi Chrystus, a za nim wiele setek ludzi. Teraz wiem, że to w ich sercach bije źródło Boga. Nie zapomnę tego. Z czystym sumieniem odpowiadam na pytanie Boga. - *Quo vadis człowieku?*

- *Do Ciebie...*